Nr. 29. We Lwowie dnia 16. lipca 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przy szumie drzew.

Z CYKLU »MIŁOŚĆ«.

(Ciąg dalszy.)

Na mchach milczący siedzieliśmy razem....
Od brzegów lasu, przez wyrąb szeroki,
Od pól rozległych, falujących świeżo
Wykłoszonemi zbożami, skąpanych
W aromatycznej kąpieli rzepików,
Osianych puchem złocistym, przypłynął
Wiatr zleniwiały ku naszej polanie.
I naprzód cicho ruszyły się trawy;
Storczyki, wnet się zbudziwszy z zadumy,
Chwiały hełmami; zgięła się konwalja
I liść poziomki mchy rozpoczął głaskać;
Biedrzeniec skronie ocierał o twarde
Gałęzie dzikiej krzewiny; paprocie
Strząsnęły resztki brylantowej rosy;
Jaskier swe lica odwracał od słońca,
Giął je do kolan, to je znów podnosił,
Jak zadąsany; nawet mlecz i srebrnik
I gwiazdkowata stokroć, choć się zdają
Niby przypięte z łodyżką i liściem
I razem z kwieciem do ziemi, zadrgnęły,
I krzaki głogów, wyrosłe na miedzy,
Która oddziela bór od plonnej niwy,
Jęły tu owdzie rozrzucać przestałe,
Bladoróżowe płatki z swej korony.
Powoli wiew się przedarł ku wierzchołkom
I jedno drzewo zaczęło drugiemu
Podawać dziwne akordy prastarej,
Utraconego raju tajemniczem echem
Będącej pieśni, ze słów ułożonej,
Co pozostały z języka praświata,
Ludziom dzisiejszym nieuchwytne dźwięki,
Lecz zrozumiałe dla duszy poety.
Szum wszczął się w klonie, w którego okole
Spoczywaliśmy: zaszeleścił starzec
I urwał naraz, jak gdyby w fałszywą
Uderzył strunę, potem znów potrącił
W lutnię runiczną i głosem stłumionym
Jął wyśpiewywać przedwieczne rapsody.
Ton pochwyciła lipa, naśladując
Pomruki górskich potoków, a za nią
W trop pospieszyli inni towarzysze,
Od wieków jednem ogrzewani światłem
I jedne burze znoszący: jawory,
Buki i graby, a nawet gromada
Zbłąkanych świerków, które oblepiły
Pasożytnicze, niby pleśń, jestestwa.
Patrząc na klony i na graby stare,
Na rozłożyste jawory i buki,
Na lipę wonną i na świerki siwe,
Mógłeś z początku odróżnić dokładnie
Które z nich szumią, a które szeleszczą,
Które z nich szemrzą, lub szepcą, lub mruczą.
Ze zamkniętemi wsłuchany oczyma
W te różnorodne akordy, sądziłbyś,
Że gdzieś tam w sferach, do których w niezwykłych
Snach ulatuje uwięziony w glinie
Ziemskiego bytu, lecz na chwilę z więzów
Wyswobodzony duch ludzki, narzędzia
Stroją muzyczne jacyś mistrze tonów,
Śród gwiazd zrodzeni, i że na ten padół
Przypełzły echa ich dzwięków. Niebawem
Ten szum i szelest, szmer i szept i pomruk
Zlał się w harmonji przepełną melodję,
Głucho płynącą nad naszemi głowy,
Jakby tam w górze daleko, daleko,
Nie drgały bryłki powietrza, lecz jakieś
Olbrzymie morze toczyło powoli
Ciężkie swe fale.....

* * *

Milczący oboje
Spoczywaliśmy pośród mchów... Las szumiał,
A szumy jego wnikały powoli
W wszystkie me żyły. Krwi mej każdy atom

Zdawał się zmieniać w miljonową cząstkę
Jakiejś symfonji i zlewać się razem
Z szumem, z szelestem z pomrukiem i szeptem
Drzew, konarami chwiejących nademną.
I tajemnicze przejęły mię dreszcze...
I wnet uczułem, że szumiące drzewa
Nie nad mą głową tak szumią, lecz we mnie.
I zdało mi się, że powoli tracę,
Jednę za drugą cechy człowieczeństwa....
Chciałem się bronić.... napróżno! Od władz tych,
Które się gnieżdżą w mózgu — nie! w ramionach,
We wyprężonych do oporu piersiach,
Była silniejszą potęga, idąca
Z onych wierzchołków i całą mą postać
Ogarniająca swą dziwną muzyką,
Słodką a straszną.... Doznałem wrażenia,
Żem się przedzierżgnął w jeden z tych jaworów,
Buków czy klonów lub świerków, a potem,
Że ci liściami naodziani boru
Tego mieszkańce zrośli się w olbrzymie
Jakieś pradrzewo, rozparli tę nikłą
Uwięź cielesną, która już nie gniotła,
I mą prawdziwą stali się istotą.
Nie umiem dzisiaj powiedzieć, jak długo
Trwał stan niezwykły — być może sekundę
Według obliczeń chłodnego rozumu:
Mnie się zdawało, że bezmiar wieczności
Wypełniam swemi konary.... Powoli
Ludzkiego bytu wracała świadomość;
Powoli-m zaczął uczuwać ten ciężar
Znikomej gliny, z której ulepiono
Ten grzbiet, te stopy, te nasze ramiona....
Powolim zaczął ludzkiemi oczyma
Rozróżniać klony i buki i świerki,
Lecz duch, wykąpan przed chwilą w przedwiecznych
Falach, nie umiał otrząsnąć od razu
Wszystkich kropelek, co na jego skrzydłach
Zostały z owej kąpieli, tajemnie
Lśniąc się blaskami nieznanych dziś pereł.
W jakiś się dziwny jęły amalgamat
Zlewać dwa stany: dawna, dawna przeszłość
I teraźniejszość..... Obrazy przedemną,
Bytem, odzianym ciężką, ludzką gliną,
Zaczęły wstawać z niedzisiejszej doby,
A jednak w żywem do niej podobieństwie,
Jakby nie było między tem, co przeszło,
A tem, co dziś jest, najmniejszej różnicy.
Zdawało mi się, że ja to przed wieki
Z liści bukowych uplotłem odzienie,
Ażeby nakryć swą nagość występną,
I że mnie wygnał płomienistym mieczem
Boży archanioł za bramy Ogrodu,
I że w tym szumie ściga mnie wspomnienie
Pobytu w Raju.... I wszystkie męczarnie,
I wszystkie trudy, jakie przebył Adam,
Syn ziemi, walcząc z dzikiemi potwory,
Które mu twardą tamowały drogę,
Gdy ku wschodowi podążał, ku słońcu,
Dawcy światłości, ciepła i owoców —
Wszystkie te jego ciężary mnie gniotły....
Oślizłe węże, co z sykiem owijać
Nie przestawały swem cielskiem mych kolan
I moich piersi i szyji wygiętej,
Wilgnemi żądły aż do warg sięgając,
Zdzierałem ręką, drżącą od zmęczenia.
I na mej dłoni uczułem pęcherze
Od wyrywania chwastów i korzeni
I od łamania konarów, by sobie
Przez niedostępną gęstwinę, okrytą
Czarnemi zmroki, utorować wyjście
Na łan świetlany. I ze skroni bladej
Jąłem ocierać zimny pot, co spływał
Hojnym strumieniem, kiedym ja, praczłowiek,
Adam, syn ziemi, rozbijał rydlicą
Grudy kamienne, albo orał pługiem
Twarde opoki, aby z nich wydobyć
Czarny kęs chleba....

* * *

I potem mi było,
Jakbym Kaina piętno miał na czole,
Bo bez spokoju dążę i spoczynku
Sam niewiem dokąd — może, aby zabić
Wspomnienie zbrodni, której nie spełniłem,
A którą przecież — tak mi się zdawało —
Umiałbym spełnić, czy też aby znaleźć
Nieznane szczęście w ziemi Nod, na wschodzie
Od wrót edeńskich.... I jąłem wyrzucać
Złowrogim losom, że mi snać zabrały
Prawo do niego — do owego szczęścia,
Które powinno być udziałem człeka,
Jeżeli może być udziałem kwiatu —
Tego biedrzeńca, co z zarośli szydzi
Z mojego losu, tych niebieskich dzwonków,
Na dnie kielicha swojego kryjących
Miód dla — owadu, i tych mleczów złotych
I tych nieznacznych srebrników,
I tych stokrótek i tej róży dzikiej,
Co mnie ogłusza swą wonią....

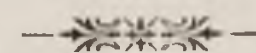
* * *

Jan Kasprowicz.

Dok. n.



Album Muzeum Narodowego w Rapperswylu.



Tom IV. — **KOŚCIUSZKO.** — *Biografja z dokumentów wysnuta przez K. Poprzedzona rzutem oka na dzieje Muzeum Narodowego w Rapperswylu i katalogiem zbiorów kościuszkowskich, w temże Muzeum przechowanych. — Kraków. — Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswylu. 1894.*

II

Rewolucja francuska poruszyła całą Europę, podnieciła wyobraźnię wszystkich ludów, obudziła wszędzie nowe pragnienia i nowe nadzieje, i gdyby Polska stanowiła wyjątek w tym wzglę-

dzie, świadczyłoby to tylko niepochlebnie o jej stanie umysłowym i naukowym. Na szczęście, tak nie było, mamy na to dowody u swoich i u obcych, u przyjaciół i u wrogów. Owszem Rzeczpospolita okazała się bardzo czułą na nowe dążenia. Było w niej wiele zgnilizny, ale jeszcze więcej świeżego, zdrowego materjału. I to nas ocaliło, i to nam zapewniło przyszłość. Jeżeli Kościuszko, usprawiedliwiając się przed ks. Czartoryską, jenerałową Ziem Podolskich, pisał: »Mogą mnie winić i nasze powstanie, ale Bóg widzi, że nie francuską zaczynamy rewolucję«, to Warszawa i Wilno zamanifestowały odrazu swe sympatje francuskie. I Kościuszko niewątpliwie sprzyjał wielkim ludzkościowym ideałom rewolucji, ale prawdopodobnie temi słowy uspakajał, że nie zamierza iść w krwawe ślady ówczesnej Konwencji. Chociaż może i toby się przydało.

W każdem naszem powstaniu były dwa stronnictwa rewolucyjne: jedno, rachujące więcej na obcą pomoc, niż na własne siły; drugie, mające wiarę, że można wszystkiego dokonać własnemi siłami, i z tego powodu domagające się natychmiastowego tych sił wyzwolenia. Jedni chcieli iść znanemi, utartemi drogami, ostrożnie i nie narażając sobie nikogo, a przedewszystkiem tych, którzy mieli dobra, pieniądze i znaczenie. Drudzy gotowi byli rzucić się śmiało, przebojem naprzód, poplątać wszystkie rachunki militarne i dyplomatyczne, nie oszczędzać nic i nikogo, rozpętać wszystkie siły i wszystkie namiętności i ostatecznie zwyciężyć albo umrzeć. I w powstaniu 1794 r. musiały istnieć te stronnictwa i w samej rzeczy istniały. Umiarkowane stronnictwo wzięło przewagę, i Polska została rozebraną. Sposoby więc działania tego stronnictwa okazały się bezskutecznemi a nawet zgubnemi. Już nic gorszego nastąpićby nie mogło, gdyby i przeciwnemu stronnictwu nie udała się czynność. Warto więc zastanowić się, czy sposoby, zalecane przez skrajne stronnictwo nie byłyby skuteczniejsze.

Kiedy rozpoczynało się powstanie, warunki były dla niego bardzo przyjazne. Austrja i Prusy prowadziły wojnę z Francją i w państwach swych miały mało wojska. Kollowrat w relacji swojej do nadzorczej rady wojennej i nadwornej i państwowej kancelarji pisze w dniu 28 marca, że Galicja własnem wojskiem obroniona być nie może, i że gdyby to stało się rzeczą konieczną, to jedynie należy się tego spodziewać od Rosji*). Skutkiem tego, Franciszek II. znaczną część wojska z działami oderwał od armji księcia Koburskiego i kazał jej wracać pośpiesznie. W Prusach Południowych, które obejmowały dzisiejsze Poznańskie i około czwartej części Królestwa Kongresowego, hrabia Schwerin miał pod swojem dowództwem mniej więcej ośmiotysięczny korpus, który — jak powiada Treskow — po większej części pozostając na stopie pokojowej, tworzył tylko niezbędne garnizony, i te przytem były słabe*). Garnizony te zajmowały: Bydgoszcz, Poznań, Leszno, Toruń, Gniezno, Kalisz, Włocławek, Płock, Wyszogród, Piotrków, Częstochowę i wiele jeszcze innych pomniejszych miejsc. Ponieważ w prowincji tej zapanowało w marcu silne wzburzenie, i mówiono nawet o wybuchnąć mającej 25 marca rewolucji, przyczem »nawet ludzie niższego szczebla (selbst die Leute niederer Race), t. j. chłopi wygadywali, że za cztery tygodnie wszystko inaczej będzie«**), przeto król pruski gabinetowym rozkazem 30 marca upoważnił Schwerina ściągnąć wojska z Prus Zachodnich i Wschodnich i ze Szląska. I pomimo to Schwerin 8. maja nie miał więcej nad 20.000 żołnierza. Moskiewskie siły nie przedstawiały się także groźnie. Armja rosyjska w granicach przez drugi rozbiór uszczuplonej Rzeczypospolitej wynosiła 25.500 ludzi i 81 dział. Największy korpus znajdował się w Warszawie — 8100 ludzi, Apuszkin stał nad Pilicą z 1500, Denisow na Wołyniu z 2000, jenerał Arsienjew w Wilnie z 1800, książę Cycyanow w Grodnie z 1700 ludzi. Reszta armji była porozdzielana po rozmaitych miejscowościach. Po bitwie Racławickiej, po ucieczce Igielstroma z Warszawy, po wzięciu jenerała Arsenjewa z całem niemal jego wojskiem do niewoli, Moskwa nie miała w Polsce i Litwie więcej nad 20.000 żołnierza. Przez dłuższy czas nie mogła ona rachować na większe posiłki nad 50 i kilka tysięcy. W tej sprawie pisze Cobenzl z Petersburga w dniu 9 maja do Thuguta: »Rosja, nie mogąc odsłonić się od strony Turcji, która w obecnej chwili bardziej niż kiedy może się zdecydować na wojnę, nie jest w stanie w prędkim czasie wysłać do Polski, jak tylko 10 do 11 tysięcy żołnierzy z Inflant i 40.000 z Ukrainy«. I z tego powodu — pisze dalej — ucieszono się w Petersburgu, kiedy się dowiedziano, że król pruski z przywołanem z nad Renu 40.000nem wojskiem pośpiesza do Polski. Treskow w dołączniku (Beilage A) podaje stosunek sił zbrojnych w dniu 8 maja. Siły pruskie wynosiły 20 tysięcy; siły rosyjskie w Polsce, wyłączając Litwę, 12 tysięcy; siły polskie, wyłączając także oddziały litewskie, 36.000. Jak widzimy, nawet pod względem militarnym mieliśmy przewagę nad wrogami.

Gdyby więc nie dawano się łudzić rozmaitym kombinacjom dyplomatycznym, ale powołano Prusy Zachodnie do natychmiastowego powstania, a gotowość ku temu była wielka — jak to się pokazało podczas pochodu Madalińskiego; gdyby odwołano się do włościan, ogłaszając bez

*) Quellen zur Geschichte der deutschen Kaiserpolitik Oesterreichs während der französischen Revolutionskriege 1790—1801. Vierter Band. Wien 1885. (Str. 172).

*) Der Feldzug der Preussen im Jahre 1794. — Von A. v. Treskov. — Berlin 1837. (str. 23).

**) L. c. str. 31.

zwłoki zupełną ich wolność; gdyby prowadzono akcję śmiałą, posuwającą się naprzód, zaczepną, ryzykowną, to można na pewno powiedzieć, że z początkiem maja powstanie panowałoby swobodnie od Warty aż po Dźwinę i mogłoby zorganizować siłę zbrojną, któraby dała odmienny bieg wypadkom europejskim. Tak postępowało we Francji stronnictwo Góry, które złamawszy Żyrondystów, odparło koalicję monarchicznej Europy i ocaliło kraj ojczysty od niechybnego rozbioru.

Czy odwołanie się jednak do włościan miałoby skutek pożądany? Dzisiaj o tem wątpić trudno, zwłaszcza po ogłoszeniu w ostatnich czasach ważnych dokumentów rosyjskich. Z tych dokumentów przekonywamy się, że Moskwa obawiała się ogromnie powstania chłopów w Polsce i na Litwie, i nie mało mamy faktów, które świadczą, że wcale nie bezpodstawną była ta obawa. Rozgłos bitwy Racławickiej, tego zwycięstwa chłopów, poruszył ich silnie i pociągał do walki zbrojnej. Sami śpieszyli do obozu, sami domagali się broni, ale szlachta krzyczała w niebogłosy, że dzieje się jej krzywda, domagała się wydawania zbiegów, a »projekt ruszenia masy włościan — jak donosił pułkownik Chomentowski z Lubelskiego — przyjęto jako bezprawny i wolności zagrażający«. Górale nie zwróciliby uwagi na te krzyki, ale nasi Żyrondyści w komisjach porządkowych okazywali karygodną względność dla szlachty. Wieść o jenerale chłopskim, »jenerałos mużyku«, szerzyła się pomiędzy ludem białoruskim, żmudzkim, łotewskim. Gubernator miński. Tutołmin, pisał do Zubowa z Nieświeża dnia 20 apryla (1 maja), że buntownicy zbierali po karczmach włościan, poili ich i namawiali do powstania. »P. Bieliński (osławiony marszałek sejmu Grodzieńskiego) mówił mnie — pisze on dalej — że on sam słyszał, jak chłopi niecierpliwie domamagali się, by ich prędzej powołano do wojska. Oni też mówili mu, że na pierwszą odezwę zbierze się ich do stutysięcy. Dobrzeby było — dodaje — mieć tu teraz 10 tysięcy Baszkirów, aby knutami pozbawić ich ochoty wojowania«. Książę Repnin, mianowany naczelnym wodzem wojsk rosyjskich, rozumniej jednak zapatrywał się na rzeczy i polecał dowódzcom oszczędzać włościan i zjednywać ich na swoją stronę. »Winienem — odzywa się Kościuszko w wydanym dnia 2. maja pod Winiarami uniwersale — podać do wiadomości narodowej, że Moskale szukają sposobów podburzania ludu wiejskiego przeciwko nam, wystawiając mu arbitralność panów i dawną ich nędzę i nakoniec pomyślniejszą przyszłość za pomocą moskiewską«. Rada Narodowa Najwyższa w odezwie z dnia 27. czerwca przemawiała do włościan: »Moskwa li obiecywać wam może polepszenie stanu, gdy niemasz na świecie sroższej niewoli nad tę, w której ona lud rolniczy trzyma, gdy go na rynkach jak bydlęta przedawać dopuszcza«. I sami włościanie pojmowali to dobrze. Nie słyszymy bowiem, ażeby okazywali oni jakąkolwiekbądź pomoc Moskalom, a przeciwnie wszędzie wspierali życzliwie powstańców.

Bolesław Limanowski.

Dok. n.



Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863—1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894. (Ciąg dalszy.)

Trzecią osobą »trójcy szatańskiej« szanownego autora jest Ludwik Mierosławski. Nie potrzebuję mówić o jego zasługach dla sprawy narodowej — i o jego wadach, które się najbardziej uwydatniły przed samem powstaniem. Mierosławski pokłócił się wówczas ze wszystkimi przewódcami stronnictwa demokratycznego nie o zasady, lecz z czysto osobistych powodów; chciał być wyłącznym kierownikiem, nie cierpiał przeciwieństwa swoich często dziwacznych i niepraktycznych teoryj i projektów, wymagał bezwzględnego posłuszeństwa (jak zresztą podług autora Traugut str. 101, 119). Kiedy mu Komitet Centralny ofiarował dyktaturę w r. 1862 pod warunkiem, że przyjedzie do kraju i tam ster obejmie, odmówił wręcz i za radą swojego totumfackiego i pochlebcy, Kurzyny, założył ów kontr-komitet rewolucyjny (I. str. 179), do którego należeli Janowski, Daniłowski, Koskowski Władysław i inni.*)

Była to rzeczywiście warcholska robota, bo psuli nam tylko organizację i parli do powstania bez broni; ale daleko mniej szkodzili, niż przyjaciele i bohaterowie autora, którzy hamowali wszystko, nie chcąc jednak iść otwarcie z rządem. Zaznaczę tutaj, że Chmieliński nigdy z Mierosławskim i w ogóle z żadnym dyktatorem nie

*) Daniłowski Władysław i Władysław Koskowski zasiadali przez czas niejaki jednocześnie w Komitecie Centralnym i w Komitecie Mierosławskiego; udowodniłem im dwoistość i zostali z tego powodu usunięci.

trzymał (Pamiętnik Eustachego Petyona. Paryż. 1868) i dla tego jego brat Zygmunt nie chciał się naturalnie poddać »knowaniom« Kurzyny, za co go Wydawnictwo tak chwali (II. str. 129).

Projekt wojskowy Mierosławskiego (Dokumenta do dziejów organizacji jeneralnej. Paryż. 1864), o wykonanie którego tak mu chodziło, był zresztą podobny w głównych zarysach do tego, który chciał później urzeczywistnić Traugut (II. str. 103 - 106, 108) i równie niepraktyczny; chociaż go autor tak przesadnie wychwala. Mierosławski chciał też, jak Traugut, ogłosić pospolite ruszenie, ale już w roku 1863 r.; więcej mu jednak zależało na dyktaturze i nigdzie wyraźnie tego ruszenia nie ogłosił i widać, że u niego także prywata brała górę.

Wszystko to musi być zapisane w dziejach na rachunek ciężkich win pana Ludwika. Ale oskarżać go o tchórzostwo, mówić, że nigdy głowy nie chciał nastawić (II. str. 57), kiedy się bił pod Krzywosączem i Nową Wsią i ustąpił za granicę jedynie dla tego, że mu Mielęcki (mój kolega z Paryża, razem z Witoldem Turną) odmówił posłuszeństwa, bo jego dyktatura była taksamo sfałszowaną, jak dyktatura Langiewicza — twierdzić, że nie chciał się narazić, kiedy siedział kilka tygodni w Krakowie, chociaż wszystkie europejskie policje znały go doskonale, a jego fizjonomja obleciała świat cały — jest poprostu fałszem i niegodziwością. Może się Mierosławski zbyt wielkiem bohaterstwem nie odznaczał, ale Traugut, jak autor szczegółowo opowiada (II. str. 86—94), tak samo się chował i słusznie, chociaż moskiewska policja o nim pojęcia nie miała.

Wogóle ów zarzut tchórzostwa, z którym autor co chwila występuje przeciw »warchołom«, jest jedną z najbardziej oburzających cech jego filipiki. Wszyscy ci ludzie: Chmieliński, Mierosławski, Frankowski, Kurzyna, Narzymski, Piotrowski i t. d. byli ścigani przez rząd carski od długiego czasu, na głowę niektórych naznaczono cenę, a jednak nie bali się, jak autor sam powiada, jeździć po całym kraju, przybywać do Warszawy, byli czasem (jak Stanisław Frankowski) w ręku wroga i tylko cudem wyślizgiwali się — a owi Pieńkowscy, Przybylscy, Awejdowie, Gołemberscy, Dubieccy, Majewscy mieszkali sobie w stolicy zupełnie legalnie i dawali natychmiast nura — na zawsze — skoro się dowiadywali, że ich policja śledzić zaczyna; niektórzy nawet (o to przynajmniej oskarżają Karola Majewskiego) dawali się naumyślnie aresztować i wywieźć, by się uwolnić od pracy organizacyjnej (II. str. 118, 119). Sam mieszkałem przed powstaniem nielegalnie w Warszawie całe siedm miesięcy, poszukiwany w całym kraju, jeździłem do Wilna, do Krakowa, na prowincję, byłem aresztowany i puszczony pod cudzem nazwiskiem, i wiem jak się trudno ustrzedz, nie tyle od wrogów, ile od znajomych i krewnych, którzy mogli mnie najniewinniej wydać. Wolę przypuścić, że autor tych szczegółów nie zna, bo inaczej jego oskarżenia byłyby zbyt obrzydliwemi.

Inni »warchołowie« byli także nader zasłużeni od początku organizacji i ruchu narodowego.

Józef Narzymski był członkiem Komitetu Centralnego w 1862 r., propagatorem w Płockiem, a przedtem bardzo czynnym podczas pierwszych manifestacji.

Stanisław Frankowski był z bratem swoim Leonem jednym z najlepszych organizatorów od samego początku, kiedy jeszcze autor i jego przyjaciele (I. str. 151) za piecem siedzieli; dziesięć razy mógł zasiadać w Rządzie, ale wolał być Komisarzem na prowincji, bo więcej było roboty. We wrześniu 1863 r. dał się namówić jedynie dla tego, że nie było komu rządzić — najdzielniejsi demokraci już zginęli, albo byli zbyt znani, by módz mieszkać w Warszawie; podjął się też wówczas natychmiast niewdzięcznej pracy spieniężenia listów zastawnych, zgnojonych w skarbie narodowym gwoli szlachcie (Dokumenta do dziejów organizacji jeneralnej; list ks. Czartoryskiego. Str. 64). Człowiek to rzadkiej zacności, jak zresztą same wydawnictwo przyznaje (II. str. 62), i żadnemu z trzech braci Frankowskich, Stanisławowi, Janowi, Leonowi o korzyści osobistej nigdy się nie śniło.

Józef Piotrowski był komisarzem i organizatorem w Płockiem i Augustowskiem od 1862 r. i nigdy się nie piął do żadnych zaszczytów; musiał zaś przyjechać do Warszawy i pomagał przy wypędzeniu Majewskiego, dla tego, że go rząd »biały« zawezwał do odpowiedzialności i oddał pod sąd za doraźne ukaranie batem jednego z bogatszych Augustowskich panów, który nie chciał dać powstańcom podwód, chętnie przez niego dostarczanych moskalom. Zygmunt Chmieliński tak co dzień postępował, ale go pozywać nie śmieli. Trybunał narodowy uniewinnił Piotrowskiego i jego sprawa była jednym z powodów upadku Majewskiego, którego Frankowski ledwo od śmierci uratował. Twierdzenie zaś, jakoby Piotrowski »przypadkiem się wplątał do zastępu krzykaczów i burzycieli« (II. str. 66) jest wierutną nieprawdą, bo jeszcze przy mnie, w 1862 r. był jednym z najgorętszych demokratów i takiej odwagi, że on jeden żegnał się ze mną na Pradze pod nosem żandarmów, kiedy mię wywieźli na Sybir w czerwcu 1863 r.

Za długo byłoby wyliczać zasługi innych »wichrzycieli«: Asnyka, Biechońskiego i t. d, którzy należeli do ruchu od początku i sami się zresztą bronić mogą. Nawiasem powiem, że wcale nie byli wówczas »bardzo młodymi« (II. str. 67) osobliwie Narzymski, starszy odemnie i od wszystkich prawie bohaterów autora; jest to znowu jedna z tych umyślnych niedokładności anonyma, który, nie mogąc pominąć ludzi, tak wysoko sto-

jących w dziejach narodu, i zbytecznie ich obryzgać, robi z nich przynajmniej niedoświadczonych i bezwąsych młokosów. O! bardzo mu się przydała nauka szanownych OO. Towarzystwa Jezusowego!

Bronisław Szwarce.

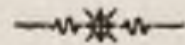


ZWALCZENI.

Dramat historyczny w trzech aktach.

Napisała

Helena Ceysinger.



(Ciąg dalszy.)

LEONARDO. A więc, wracając do mego pytania, jakim sposobem zmusiłaś pani tego młokosa do posłuszeństwa?

BIANCA. A gdybym zupełnie odmówiła panu opowiedzi na to pytanie?

LEONARDO (zimno). Przypomniałbym pani, że pytać mam prawo. Wszak pierścień mój nosisz na palcu?

BIANCA (pokazując rękę). Pierścień? Oddałam go Andrzejowi.

LEONARDO. Co to znaczy?

BIANCA. Zaręczyłam się z nim.

LEONARDO. Radzę pani nie igrać w ten sposób.

BIANCA. A gdyby to była prawda?

LEONARDO. Pani znasz historję stryjecznego dziada mego i Katarzyny Tiepolo? My z rodu Grimanich nie pozwalamy odbierać sobie żon i kochanek.

BIANCA (wzdrygając się). Tak, przypominam sobie, udusił ją podobno własnemi rękami. (Ożywiając się). Ale Leonardo, ja nie boję się ciebie. Ciebie strasznego, z ogniem mordu w oczach widzieć bym chciała.... Byłbyś piękny, jak szatan. Ostatniem ulatującem tchnieniem zakochałabym się w tobie nareszcie....

LEONARDO (przypatrując jej się z zachwytem). Muzo moja, za pięknaś, żeby cię zabić.

BIANCA (śmieje się). Nie miałbyś siły. Słuchaj Leonardo, mało mamy czasu, zaprzestańmy tej rozmowy. Nie zazdrość dzieciakowi pocałunku, którym wysłałam go na śmierć i hańbę... (widząc gniewny gest Leonarda). Daj pokój! Czy pamiętasz, o czem mówiliśmy trzy dni temu?

LEONARDO. Tak. Cóż nowego?

BIANCA. Czyś robił poszukiwania?

LEONARDO. Tak. Najpilniejsze, ale daremne. Twoje podejrzenia były bez podstawy.

BIANCA. Mylisz się.

LEONARDO. Czy wiesz co więcej?

BIANCA. Wiem. Mam pewność. Przed chwilą Andrzej wypowiedział mi wszystko..... spisek między ludem zorganizowany i przygotowany.

LEONARDO. Nazwiska? Nazwiska?!

BIANCA. Oh, żądasz zbyt wiele. Nazwisk nie wiem. Wasza rzecz je znaleźć.

LEONARDO. A jednak znaleźć nie możemy. Jeżeli ten spisek istnieje rzeczywiście, przyznaję, że prowadzony być musi z piekielną zręcznością i to nie rękami takiego Andrzeja.

BIANCA. O, z pewnością nie!

LEONARDO. Powierzyłem tę sprawę najbieglejszym narzędziom moim i dotąd nic, nic....

BIANCA. Kto wie, czy nie wśród narzędzi należałoby zacząć poszukiwania?

LEONARDO. Co mówisz? Pani, genjalne masz pomysły! Gdybym ci w przyszłem państwie mojem nie zapewnił już zawczasu innego stanowiska, zrobiłbym cię szefem szpiegów moich. (Bianca krzywi się). Ale czy dzieciak prawdę powiedział? Czy nie chciał wyprowadzić nas na manowce?

BIANCA. O, nie posądzaj dziecka o chytrość! Przestraszony, zaskoczony z nienacka, błagał mnie, abym tę wiadomość zatrzymała przy sobie.

LEONARDO. Głupiec! A tobie Bianco, twój cudowny rozum stanowczo podyktował nie dzielić się nią z wujem?

BIANCA. Domyślasz się. Zachowałam ją dla nas.

LEONARDO. Bravissimo! Ukochana, to będzie ostatni stopień, po którym dojdę do władzy! O, dalekim jestem od tłumienia tego ruchu w zarodku. Na wzburzonych falach ludowych wypłynę na tron Wenecji. I Bianco, na ludzie oprzeć się będzie trzeba w przyszłości (chodzi zamyślony). Bunt Dalmacji okoliczność pożądana, ale i pogrom powstańców pożądany.... Inaczej plebs nie odda mi się w ręce.... (zatrzymuje się przed Biancą). Bianco, Bianco moja! Przysiądz mogę już, że korona Wenecji uwieńczy ci czoło. Czyś nie dumna? Bianko, czy ci księztwa Dalmacji żal?

BIANCA. Kto wie, kto wie? Nudne mi już wasze wieże i laguny, nudny mi cały blask i cała chwała Wenecji. Gdy korony dobędziesz, ja jej pragnąć przestanę.

LEONARDO. Bianco, to są słowa szalone, kapryśne.....

BIANCA. Słowa! Alboż ty znasz mnie? Alboż ty wiesz, jaki tłum pragnień nieziszczonych burzy się wiecznie w tej otchłani? (rozmarzona, po chwili milczenia). Poprzez morza niebieskie wzrok mój tęskny biegnie do wysp zielonych, do krain nieznanych.... barwnych, jak bajka piastunki..... popod zorzę czerwoną biedzbym chciała... chciałabym wiedzieć, zobaczyć.... jakim ziemiom przyświeca?.... Czy jest gdzie to, czego duch mój dziki szuka po całym podsłonecznym świecie?!

LEONARDO. Ale cóż to jest?

BIANCA. Nie wiem. Przez chwilę myślałam, że to korona Wenecji. Teraz czuję, że to było złudzenie. Leonardo, gdybyż to była choć cesarska korona...!

LEONARDO. Bianco, majaczysz!

BIANCA. A miłość?.... Znudziłeś mnie ty, znudził mnie ten dzieciak mdły, bez woli, bez charakteru..... znudziły mnie legjony tkliwych, wzdychających, namiętnych, zrozpaczonych wielbicieli moich. Ty Leonardo, ty miałeś jedną orlą chwilę w życiu; porwałeś mnie, pamiętasz? Ale, teraz tyś wąż, nie orzeł, pałzasz zamiast wzlecieć do góry.

LEONARDO. Bianko, rozwinę ja kiedyś skrzydła i jako król ptaków stanę przed tobą!

BIANCA, Nigdy! Tyś człowiek mały. Mali ludzie jesteście wszyscy. Słuchaj, noce moje spływają bezsenne, bo tam po drugiej stronie Adrjatyku chodzi postać olbrzymia, wpatrzona we mnie płomienistemi oczami. We wzroku pali się ogień nieznany wam, ogień idei.... Ta postać, tam po urwiskach gór knująca wielkie zamiary, żyjąca buntu myślą nieśmiertelną, wzięła mnie sobie na własność. On pan moich nocy bezsennych! On pan moich myśli szalonych! Niewolnicą jego być, rozkosz! Niechby mnie deptał, jabym go kochała! Kocham go!

LEONARDO (wybuchając śmiechem). Idealny, zaprawdę, kochanek! Rozbójnik nieokrzesany i stary! Bianco, jak stary! Rówiennikiem jest twojego wuja, miłościwie nam panującego Doży!

BIANCA. Nie staraj się ośmieszyć go w moich oczach, Leonardo. To próżny trud. Ja wiem o nim więcej od ciebie.

LEONARDO. Chętnie na czas jakiś ustąpię mu mojego miejsca w sercu twojem, Bianco. Tu zazdrość śmieszniejszą byłaby jeszcze od miłości. Ty sama czujesz, że nowe to złudzenie szalonej twojej wyobraźni prysnęłoby przy pierwszem zetknięciu z rzeczywistością. Wiesz o tem i nie wahasz się przeciwko temu władzcy twemu występować. Cóż to uczyniłaś przed chwilą z jego synem?

BIANCA (śmiejąc się). Dałam mu macierzyński pocałunek, nic więcej. A zresztą, albożty jesteś w stanie pojąć mnie?!

LEONARDO (ze śmiechem). Matko..... rozkoszy i zepsucia, któż kiedy zrozumie ciebie?! (Po chwili). A cóż zamyślacie zrobić z tą dziewczyną? Dlaczego sprowadziliście ją tutaj?

BIANCA. Teraz ty, Leonardo, mógłbyś mi pomódz może do rozwiązania zagadki. Doży interesem jest w tej chwili za wszelką cenę uspokoić Dalmację. Nie wystarcza mu pozyskanie Andrzeja, chciałby wojewodę od buntu powstrzymać. Więc rozumiesz, odświadczy mu się, że nie odzyska córki, dopóki broni nie złoży. Inaczej jej tortury, śmierć... jemu klęska, szubienica... itd. Ja to rozumiem, a jednak czuję, że tu chodzi o co innego, że wuj mój chce przedewszystkiem zgnieść, chce poniżyć, chce zhańbić tego człowieka. Powiedz mi czy on zna, wojewodę?

LEONARDO. Tak, zdaje mi się: jakaś ponuro krwawa historja z ich młodości obiła mi się o uszy. Ale Bianco, naszym interesem natychmiastowe uspokojenie Dalmacji nie jest. Tylko pod nieobecność Morosiniego możemy nasze plany przeprowadzić pomyślnie. Pamiętaj o tem.

BIANCA. Ty sądzisz, że wojewoda ulegnie?!

LEONARDO. Nie wiem, ale niepotrzebnie twoja Claribel sprowadziła tutaj tę kobietę.

BIANCA. Tę kobietę! Ja ją nienawidzę!

LEONARDO. Tak? Czy ją znasz?

BIANCA. Nie. Nie widziałam jej nigdy, a przecież jak wuj wojewodę, tak ja pragnę ją podeptać nogami. Chcę, żeby wlokła się za mną, błagając o życie, o zmiłowanie nad sobą! Chłodny jak lód, wracał Andrzej do mnie od jej boku!

LEONARDO (wzruszając ramionami). Drobne namiętności miewasz do wielkich przedsięwzięć. (Po chwili milczenia) Policzmy, Bianco, tych, których usunąć nam wypadnie. (Przyciszonym głosem). Zastęp niemały! Najpierw Morosini. Ten nie powinien już powrócić z Dalmacji, dalej twój wuj....

BIANCA. O nie! Dożę musisz oszczędzić!

LEONARDO. Skrupuły?! To w pani dla mnie rzecz nowa! Nie miałaś ich pięć lat temu, gdy chodziło o tego biednego Moncenigo. Przypomnij: młody, wesoły, życie same rozkosze niosło mu w darze, ty nie miałaś dla niego litości, a Doża, starzec udręczony chorobą, nad grobem! Cóż mu zabieramy? Kilka lat, może kilka miesięcy cierpień....

BIANCA (ze zmarszczoną brwią). Dosyć! Musisz oszczędzić Dożę!

LEONARDO. Muszę...?

BIANCA (z politowaniem). Leonardo, jedno drgnięcie ust moich przed senatem, a głowa twoja z katowskiego pnia, jak piłka z rąk dziecka się potoczy!

LEONARDO (wzdrygając się). Zdradziłabyś mnie?

(BIANCA milczy).

LEONARDO (z ukłonem). W obec tak stanowczego upodobania i czci pani dla siwych głów, mnie jako młodszemu, znów ustąpić wypada. Darujmy życie Doży! A reszta?

BIANCA. Reszta mnie nie obchodzi. Wiedzieć o tem nie chcę. Możesz robić, co ci się podoba.

LEONARDO. Cicho! Nadchodzą....

SCENA V. Doża, Grimani, Marco Loredano, Bianca; później Zofja, cyganka, dowódzca straży.

DOŻA (wchodząc). No mamy go już w ręku. Oddałem go w opiekę Morosiniemu a i Monegario towarzyszy mu z własnej ochoty. Gdzież ta dziewczyna?

BIANCA (wychodząc), Zaraz będziesz ją miał.

(Po chwili wchodzi cyganka z Zofją, za nimi Bianca. Zofja z oczyma spuszczonemi staje i obie ręce opiera o stół).

MARCO (cichym głosem do Grimaniego). To piękna dziewka.

GRIMANI (tak samo). Zbyt mała. Nic mi po kobiecie, której piekło z oczów nie patrzy.

DOŻA (podchodząc ku Zofji). Piękne dziecię, wydajesz się bardzo młodą jeszcze i zapewne tak niespodziewane porwanie musiało się mocno nastraszyć? Wiedz-że, iż w polityce różnych sposobów chwytać się potrzeba, a najgwałtowniejsze nie zawsze bywają najniegodziwsze. Zdziwisz się, gdy usłyszysz, jak błahej i łatwej rzeczy żądamy od ciebie. Czy zechcesz posłuchać mnie?

ZOFJA. Słucham cię, panie!

DOŻA. Zależy nam na tem, abyś doniosła ojcu o swojem porwaniu i uwięzieniu w Wenecji. Możesz dodać także, że jesteś przez nas dręczona, torturowana.... nie lękaj się (Zofja uśmiecha się pogardliwie), to żart tylko i przyjemna niespodzianka dla ojca, gdy cię zastanie zdrową i pieszczoną. Jednem słowem zaklnij go na miłość, jaką ma dla ciebie, aby cię z rąk naszych uwolnił. Cóż, czy napiszesz to?

ZOFJA. Nie. Chcę pierwej poznać cel....

DOŻA. O, cel moralny i chrześcijański! Nie chcemy wojny z twoim ojcem, dlatego nie oddamy mu córki, póki się na pokój nie zgodzi. Oto pióro! Pisz, piękna zakładniczko!

ZOFJA (usuwając pióro). Nie.

DOŻA. Jakto? Co to znaczy? Jak śmiesz....

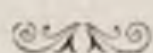
ZOFJA. Wenecjanie, czy wy ojca mojego nie znacie?!

MARCO (do Leonarda). Z jaką dumą wygina swą szyję łabędzią? Patrz, patrz, gołąbka w orlicę się przemienia.

C. d. n.



Rozbiory i sprawozdania.



Z piśmiennictwa ruskiego.

Właśnie opuścił prasę trzeci tom »Zapisków naukowego towarzystwa im. Szewczenki«, wydany pod redakcją A. Barwińskiego. Tom ten przedstawia się pod względem doboru i treści artykułów znacznie korzystniej od dwóch poprzednich. Rozpoczyna go artykuł z dziedziny elektrotechniki pióra znanego specjalisty na tem polu, proferora wszechnicy niemieckiej w Pradze dra Iwana Puluja. Nie wdając się w streszczanie tej pracy, najeżonej formułami matematycznemi, zwrócimy jedynie uwagę na cenną terminologję naukową, zawartą w jej tekście i wydaną przy końcu osobno. Dla wszystkich dalszych pracowników na tem polu już z tego jednego względu praca dra Puluja przedstawia bardzo wielką wartość.

Mniej cenną jest krótka rozprawka W. Kocowskiego, poświęcona pamięci Marcjana Szaszkiewicza, z okazji przeniesienia jego zwłok z Nowosiółek do Lwowa. Rzecz to nie obmyślana należycie i pełna mniej trafnych zbliżeń i twierdzeń, a w układzie dość chaotyczna.

Największą co do objętości jest praca dra Al. Kolessy »Szewczenko i Mickiewicz: »O znaczeniu wpływu Mickiewicza w rozwoju twórczości poetyckiej i w genezie pojedyńczych poematów Szewczenki. Studyum porównawcze«. Dr. Kolessa, młody a nadzwyczaj zdolny pracownik na niwie dziejów literatury ruskiej, obrał sobie za specjalność stosunki literackie polsko-ruskie, wzajemne wpływy tych dwóch literatur na siebie, zwłaszcza w nowszej dobie. W pierwszym tomie »Zapisek« dał on zajmującą pracę o wpływie ukraińskich pieśni ludowych na B. Zaleskiego, obecnie zaś opracował wpływ Mickiewicza na Szewczenkę. O wpływie tym nieraz już była mowa w pracach dawniejszych, zwłaszcza Daszkiewicza, moich i prof. Tretiaka. Dr. Kolessa poraz pierwszy rozpatruje z tego punktu widzenia całą spuściznę poetycką Szewczenki i dochodzi do wniosku, że Szewczenko ulegał wpływom Mickiewicza głównie w młodym wieku, w dobie romantyzmu (1838—1845), i że doniosłość tych wpływów nie była tak wielką, jak sądzono dotychczas. Później, zwróciwszy się na pole tematów z rzeczywistego życia ludowego, tematów społecznych i psychologicznych, Szewczenko wszedł na drogę, gdzie Mickiewicz już nie mógł być dla niego wzorem.

Po pracy Kolessy mieści się w III. tomie »Zapisek« nadzwyczaj cenne studjum p. Werchrackiego o »gwarze Zamieszańców«, tj. maleńkiej wysepki ludności ruskiej w zgięciu Wisłoka, otoczonej Mazurami. Jest to niejako dopełnienie do studjum tego samego autora o gwarze t. zw. Łemków, umieszczonego w »Archiv fur slavische Philologie«. W ogóle p. Werchracki, jako znawca djalektów ruskich w Galicji, zajmuje od dawna jedno z miejsc najwybitniejszych, a najnowsza jego praca godnie staje obok jego »Terminologji przyrodniczej«, »Gwary Rusinów Marmoroskich« i »Materjałów do słownika ruskiego«.

Reszty tomu obecnego dopełnia kronika naukowa pióra prof. Gruszewskiego i Al. Koniskiego. W ogóle zauważyć należy w tomie obecnym zupełny brak większych prac z Ukrainy, któremi zapełnione były w znacznej części dwa tomy poprzednie. I dziwna rzecz, brak ten wcale nie wpływa na obniżenie wartości naukowej obecnego tomu, a możnaby nawet powiedzieć, że wywarł wpływ wręcz przeciwny.

Dr. Iwan. Franko



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.